

II/921

© ARCHIWUM Wschodnie

Urodziłem się 16 lutego 1928 r. w Zemborzycach. Rodzice moi byli małorolnymi gospodarzami; posiadali niecałe trzy hektary ziemi. Miałem siostrę starszą od siebie. Wyszła za mąż i w okresie wojny była już poza naszym rodzinnym domem, a ja mieszkalem w tym czasie z rodzicami w Zemborzycach. W 1943 r. zostałem wyznaczony na roboty do Niemiec i by się uchronić od wywozki, musiałem się gdzieś skryć. Przebywałem przeważnie w sąsiedniej wsi, w Krężnicy. Ukrywałem się u tantejszych gospodarzy, m. in. u Ochowskiego, Gładysza i innych. Wójt Krężnicy, to moja rodzina, z matki strony. Stanisław Szuster jest żonaty z moją wujeczną siostrą. On był w AK, w tantejszej placówce. Gładysze, to też moja rodzina. Dalza - co prawda - ale rodzina. Karzik Kukuryka też. Byłem tam wobec tego mile przyjmowany, lubiany, nikt mi krzywdy nie robił. Udziękolwiek zaszedłem, byłem jak swój, jak członek rodziny.

Paweł Ochowski mówił kiedyś do mnie: - „Ty tak za długo tutaj bezczynnie nie siedź, bo to podejrzanie wygląda. Dobrze by było, jakbyś się zameldował u komendanta placówki.” Właśnie on mnie umówił z „Mirem”, przedstawił mnie. Okazało się, że ojciec „Mira” znał bardzo dobrze mojego ojca. Ja też znałem jego ojca. Tak trafiłem do konspiracji; było to latem 1943 roku. Zostałem żołnierzem Armi Krajowej na placówce w Krężnicy Jarej, której komendantem był „Mir” - Krzysztof Goliński. Po nawiązaniu bliższego kontaktu z „Mirem” rozpocząłem działalność konspiracyjną. Uczestniczyłem w kolportażu wydawnictw konspiracyjnych, podcinaniu słupów telefonicznych. Brałem także udział w wysadzeniu mostku kolejowego między Zemborzycami a Krężnicą.

Rodzina „Mira” - rodzice i brat, byli to bardzo porządni ludzie. Ojciec był organistą w Krężnicy. „Mir” był bardzo dobrym organizatorem. Był ode mnie starszy, miał przeszkolenie wojskowe. Zginął pod Bychawą. Pojechał tam i natknął się na żandarałów. Poza nim zginął tam swój kuzyn

ze strony matki Stanisław Fus z Kolonii Krężnickiej. To było lata 1944 r., chyba w czerwcu. Podobno jeszcze ktoś trzeci tam był z nimi, został ranny. Jechali rowerami i ktoś chyba ich sprzedał, doniósł Niemcom. Nie znam bliżej okoliczności tego wydarzenia.

Strata była wielka, bo „Mir” był dobrym i dzielnym człowiekiem. Był wykształconym, światłym chłopakiem. Nie wiem jaką szkołę i kiedy kończył, ale pamiętam, że w czasie spotkań nieraz rozmawialiśmy na różne tematy, dowiadywaliśmy się od niego wiele. Kiedyś opowiadał o Rosji, wiele o niej wiedział, zdaje mi się nawet, że był tam w okresie po rewolucji. Mówił o życiu w Sowietach, o kolchozach, ostrzegał przed tym, co będzie u nas, gdyby Sowieci zapanowali. Myśmy się sprzeciwiali, twierdziliśmy, że do tego nie dojdzie, że Polacy do tego nie dopuszczą, ale później okazało się, że on jednak częściowo miał rację.

Pochowano „Mira” w Krężnicy. Był w nocy uroczysty pogrzeb, przemówienia. Uczestniczyli jego podkomendni i wielu innych okolicznych wtajemniczonych mieszkańców. Po śmierci „Mira” placówką dowodził przez krótki już okres czasu Kruk, ale nie wiem nic bliższego o nim. Nie miałem z nim kontaktów.

„Mir” miał brata Cienka, takiego bruneta. Jakie były jego dalsze losy, co się z nim stało, tego nie wiem. Ojciec „Mira” wiele ucierpiał po wejściu Sowieców. Co raz go bezpieka areztowała, co raz było słychać, że już Golińskiego wzięli. Zmarnowali mu zdrowie i nie dali mu pożyć. Był znękanym, jego zadreczyli. Zmarł, co prawda, nie w UB, ale z powodu ciągłego nękania przez UB.

x

x

x

W okresie, po wyznaczeniu mnie na roboty do Niemiec, przyjeżdżali po mnie do domu kilka razy. Chyba dwa razy był po mnie taki Józef Kałan z Zemborzyc, który służył w niemieckiej żandarmerii polowej. Moja mama go poznała, bo ci Kałanowie byli znani. Mieli w Zemborzycach, niedaleko kościoła, warsztat kowalski czy ślusarski. Stary Kałan był dobrym fachowcem. Dobrze spawał, na mosi^adz też. Mojemu zna-

jonemu urwał się widelec u roweru. Pytałem się go kiedyś: - „Kto ci to tak ładnie zrobił?” - „U Kałana” - odpowiedział. Ładnie to było naprawione. Powodziło się Kałanem dobrze. Ja nie byłem u nich, wybierałem się tam z czymś kiedyś, ale nie pojechałem, wiem jednak z opowiadań innych, że byli dość zamożni. Byli chyba niemieckiego pochodzenia. Sądzić tak można chociażby z nazwiska, bo Kałan, to nie czyste polskie nazwisko. Józek Kałan, taki wysoki blondyn, służył w polowej żandarmerii niemieckiej, na piersiach nosił taką blachę wiszącą na szyi. Przyjeżdżał po mnie dwa razy, kiedy mnie poszukiwali na roboty i później, kiedy sabotaż w tej firmie niemieckiej - może nie bardzo fortunnie - ale udał się.

I wtedy urwała mi się ścieżka. Łapanki były przeprowadzane i w Krężnicy. Udało mi się dwa razy uciec. Raz zauważyłem ich wcześniej i uciekłem, drugi raz już prawie z okrążenia, ale też mi Bozia dopomogła uciec, z tym, że dostałem paraliżu nerwowego. Uciekając, wpadłem w takie krzaki wikliny. To było w Krężnicy. Uciekali jeszcze inni koledzy. Pytam się ich: - „Nie widzieli was?” - „Cholera ich wie! Czego leżysz? Uciekaj!” A ja nie czułem ani ręki, ani nogi; nie mogłem się ruszać. Po paru minutach, nie wiem po ilu, jakoś nerwy puściły, krew zaczęła krążyć. Wyciągnąłem rękę jedną, drugą i zacząłem się przesuwac, początkowo na brzuchu, później co raz lepiej, od krzaka do krzaka, do olch. Oparłem się o drzewo, tak jak pijany. Wszedłem do rzeki, w rzece przewróciłem się, ale jakoś przeszedłem na drugą stronę; dostałem się do takiego młodego lasu, pełnego pokrzyw, jeżyn. Ale nie było rady, trzeba było uciekać. Po drodze zrzuciłem takie buty niemieckie, z chromowej skóry, z cholewami, zapinane na sprzączki. Byłem w kożuchu, opasany paskiem, w czapce. To wszystko też zrzuciłem w drodze i tylko w koszuli, z gołą głową i boso uciekałem. Przewróciłem się chyba ze dwa lub trzy razy, porozbijałem trochę kolana i łokcie. Ucieczka była konieczna, bo już się kocioł zamykał, nie było innego wyjścia, innej drogi, niż ta, którą

uciekaliśmy. Przez mostek już nie można było, bo tam, od strony lasu już byli Niemcy. Już matkę legitymowali i wypytywali, gdzie syn. Moja matka poznała też wówczas Józka Kałana. Matka nie żyje już; gdyby żyła, to by potwierdziła to samo. Kałan wtedy tłumaczył, bo znał niemiecki i polski.

Nie wiem, co się stało z tym Józkiem Kałanem po wojnie, nie wiem, czy żyje jeszcze i gdzie przebywa. Nie wiem również, jakie były losy jego ojca. Natomiast jego brat i matka zostali zabici w czasie akcji na obóz-bazę w Zemborzycach. Niemcy rozbudowywali linię kolejową Lublin - Rozwadów. W Zemborzycach były takie koszary i baza pracujących przy tej budowie. Byli tam Turkiestanczyki, Ormianie i ludzie innych narodowości, pochodzący z terenów Związku Radzieckiego; byli „junacy” z Baudienstu. Na obóz ten miejscowe placówki AK i BCh dokonały napadu. W czasie tej akcji młodszy brat Józka Kałana przeskoczył przez płot i zaczął uciekać. Dostał serię i zginął. Matka pobiegła na dworzec telefonować, zawiadomic o napadzie. Zobaczyła ludzi z oddziału, niektórzy byli w niemieckich mundurach. Podbiegła do nich i zaczęła prosić o obronę, tłumacząc, iż ona i jej zabity syn są Niemcami. Zastrzelono i ją.

O Kałanach nie mogę nic więcej powiedzieć, nie wiem, czy to byli ludzie dobrzy, czy źli. Skoro jednak jeden z synów był w żandarmerii niemieckiej, to świadczy, że pracowali czynnie dla Niemców. Inaczej nie mogło być.

Obóz Turkaenów, który wspominałam, nieścił się w Zemborzycach w pobliżu, a właściwie nawet na terenie stacji kolejowej, tam, gdzie dzisiaj jest GS, po przeciwnej stronie torów, niż stacja. Idąc od stacji do tego obozu, trzeba było przejść przez tory. Torów wówczas było - zdaje mi się - więcej, niż obecnie. Były tam jakieś magazyny, skład amunicji. Zajmowało to duży teren.

takie baraki, składy, obozy były też na Majdanie Krężnickim, Majdanie Wrotkowskim, w Niedrzwicy. Na Majdanie Krężnickim był również ośrodek wypoczynkowy, rehabilitacyjny dla żołnierzy frontowych. Stał tam taki wypoczynkowy pociąg, który później też został rozbity.

x

x

x

Po wejściu Rosjan w lipcu 1944 r. był taki pewien okres spokoju, oczekiwania, w którym w szeregach konspiracji akowskiej, na jej dołach, nic się nie działo. Czekaliśmy, co będzie dalej, jak się będzie władza zachowywać. Liczyliśmy później na referendum, na Mikołajczyka. Wielkie nadzieje w nim pokładano. Wydaje mi się, że Mikołajczyk był nadzieją wszystkich. Czekano, co z tego wszystkiego wyniknie, co będzie dalej. I wtedy coraz częściej zaczął się pojawiać „Rys” - Stanisław Łukasik. Był to człowiek energiczny, prężny, znany z działań w okresie okupacji niemieckiej. Stał się organizatorem powojennego podziemia na naszym terenie. Kilka razy był u mojego ojca. Grał na mojej harmonii, uczył mnie grać. Pokazywał mi swoją technikę gry, bo ja trochę już grałem.

Byliśmy wtedy pewni, że z naszej konspiracji, z naszego działania coś wyjdzie, że jest to potrzebne. Nie było przymusu, by każdy z nas musiał tkwić w organizacji do końca. Sam Łukasik nie był pewien jutra, ale wierzyliśmy w sens naszego działania.

Część ludzi z konspiracji okupacyjnej wyłamało się po wojnie. Poszli do wojska, niektórzy do milicji, nawet do UB. Inni poszli do szkół, na studia i zerwali ze środowiskiem konspiracyjnym. Inni urządzili sobie dobre gniazdko. Byli jednak i tacy, którzy nie skorzystali z tych możliwości, czekali lepszego jutra i wierzyli w jego nadejście. Ja nie mogłem też inaczej myśleć. Wiele osób z mojej rodziny było w okresie niemieckim w Armii Krajowej lub w BCh.

Ojciec mój miał jedną siostrę. Wyszła za mąż za Polakowskiego, pracującego w majątku w Tuszowie. Był tam fornałem. Ich syn, Stanisław, mój brat cioteczny, był w BCh. Był to bardzo przystojny, ładnie zbudowany, spokojny chłopak. Po wojnie miał proces, został ska-